Rok I. **Lwów, czwartek 3. września 1908.** **Nr. 138.**

GONIEC

2 centy — 4 hal.

Ilustrowany dziennik polityczny

WYCHODZI CODZIENNIE O GODZ. 11. RANO.

Redaktor i Wydawca: Stanisław Tokarski

PRENUMERATA:

We Lwowie:		Na prowincyi:	
miesięcznie	1·— K	miesięczn. z przes. pocztową	1·50 K
„ z odnoszeniem do domu	1·50 „	kwartalnie „ „	4·50 „
Numer pojedynczy . .	4 halerzy	Numer pojedynczy . .	6 halerzy

Zagranicą, 3 franki miesięcznie z przesyłką pocztową

Drobne ogłoszenia po 4 halerzy od wyrazu. | Redakcya: Lwów, Zimorowicza 17. Administracya: ul. Wałowa 6. | Ceny ogłoszeń: 20 hal. za 1-szp. wiersz pet.

Co dzień niesie?

Za Hankiewiczem ujął się i Breiter. Ten Ernest Breiter z *Monitora*. Gdzieindziej człowiek taki mógłby tylko do stryczka ludzi protegować. U nas forsuje on ich do parlamentu. Takie to stosunki zapanowały w naszym kraju, dzięki dziwnej niedbałości naszej i tolerancyi dla drapichrustów w guście Breitera.

W naczelnym a płomiennym artykule wzywa to koronne bydlę obywateli wyborców, aby oddali swe głosy na hajdamakę i socyalistę, a nie na prof. Roszkowskiego, którego z błotem miesza i odsądza od czci i rozumu.

Breiterowi niema się co dziwić. Gdyby kandydował Siczyński, Bülow, Skałłon albo Eulenburg, to Breiter za nimi także by sobie język wystrzępił. Jemu nawet Wasiński albo Murawiew-Wieszatiel byłby lepszy, byle nie Polak i patryota. Przecież Breiter pobiera zato pieniądze z ciemnych źródeł zagranicznych, aby niszczył i prześladował wszystko, co polskie i narodowe. Hakata przez płatnego zbira i padleca tam pracuje, gdzie wpływ jej bezpośrednio nie sięga.

Aby zaś ta robota była łatwą i skuteczną, stara się hakata narzędzie swych łajdactw wyawansować na „świecznik narodu“. To poparcie umożliwiło Breiterowi podczas ostatnich wyborów do Rady państwa kandydować w trzech okręgach naraz, i to w każdym dwukrotnie, bo wszędzie przyszedł do ściślejszego wyboru. Przechodził zatem w ciągu kilkunastu dni aż sześć razy przez ogień wyborczy. Kto zna tajniki wyborcze, ten wie, co to kosztuje. Najserdeczniejsi przyjaciele Breitera obliczają, że wydał on wtedy minimalnie dwieście tysięcy koron. Rzecz naturalna, że niebyły to jego pieniądze, bo ich niema, ani jego ojca, bo głupoty starego Breitera na dwieście tysięcy szacować niemożna. Źródło tej forsy leży tam, skąd ustawicznie i konsekwentnie spływa najgorsze przekleństwo i wszystko złe na nasz naród. Breiter — to okropny wrzód na ciele naszego społeczeństwa. A w interesie naszych najserdeczniejszych leży, aby wrzód ten podsycać, powiększać, i przez niego w ciągłej gorączce utrzymywać nasz organizm.

I mają w Breiterze dobrego i wiernego parobka, który służy im z bezprzykładną bezczelnością. Bo przecie polecać *coram publico* kandydaturę hajdamaki i Hudecowego sztabowca, jest szczytem takiej perfidyi i tak łotrowskiego instynktu, że już chyba głębiej w jednem i drugiem zabrnąć niepodobna.

Hankiewicz popierany przez Breitera... Co to za karykaturalny obraz na tle stosunków wyborczych w Galicyi. I to się dzieje w stolicy — w jasny dzień — drukowanem słowem — i pod hasłem zbawienia kraju. Je śliby Hankiewicz został faktycznie wybrany, to wybór jego byłby uświęceniem poglądu Breitera na lwowskie mieszczaństwo: gnuśne, tchórzem podszyte kołtuny, z pełną gębą patryotycznych frazesów i z sobkowstwem w śmierdzącej, rozkładającej się duszy...

St. B.

U nas i na świecie.

(Rozkład socyalizmu w W. Ks. Poznańskiem. — Smutne zbiegowisko towarzyszy. — Dlaczego socyalizm niema tam racyi bytu? — Abdul Azis nie składa broni. — Rozdrażnienie narodowościowe w Macedonii i Bułgaryi. — Sułtan jedzie za granicę).

Socyalizm upada i rozkłada się zwolna! To kwestya wielokrotnie już udowadniana, stała się pewnikiem politycznym ostatnich lat. Gangrena niecnych i podłych planów, machinacyj i krętactw, fałsz, obłuda, rdza zepsucia, szkody i zła poczyna toczyć partyjny organizm, w ślady jego idzie dezercya z pod czerwonej płachty, wyjście z obiegu pustych i bezdźwięcznych haseł i wreszcie

gnijący rozkład czerwonej hydry.

Był czas, kiedy socyalizm święcił tryumfy; był czas, kiedy w objęcia jego ramion masami spieszono, był czas, kiedy się z nim nawet liczono. Poszło to na karb niewyrobienia politycznego zmysłu, braku oryentacyjnej sprawności wśród chaosu nowych prądów i wolnościowych nurtów — dziś tak nie jest. O ile dawniej mógł on zastąpić niejednej organizacyi cel życia politycznego, o ile dawniej mógł bezkarnie grasować i działać na „rządy dusz ludzkich“ — dziś

próchno z niego poczyna przeświecać,

dziś poznano nowe widnokręgi polityczne, nowe gościńce ducha ludzkiego, szersze i bardziej ideą płomienne eta-

W szklanej trumnie.



py myśli. Problem socyalistyczny pozostał nierozwiązanym, a raczej został rozwiązanym, tylko powstało pytanie, co dalej, dokąd teraz, jakie nowe środki? Tego pytania partya o żywotnych interesach nigdy nie postawi, tylko organizacya, która stworzoną została

już z góry bez nadziei powodzenia.

I tak się też z socyalizmem obecnie dzieje. Nieprzypominamy ostatnich klęsk czerwonych towarzyszy, podniesiemy świeży fakt niepowodzenia socyalistów w Poznańskiem. W tych dniach oto odbył się tam zjazd partyi operującej po Księstwie Poznańskiem. I pokazało się, że

socyaliści na Księstwo nie mają żadnego wpływu.

Cały obrót funduszów związkowych dochodził wraz z subwencyami berlińskiemi zaledwie do 2500 marek. W Poznaniu jest tylko 120 członków stronnictwa, w Bydgoszczy 138, a i to uważane jest za rozkwit, gdyż w roku przeszłym było ich zaledwie stu na oba miasta. Przy wyborach do parlamentu zaledwie w jednym okręgu czarnkowsko-chodziesko-wieleńskim kandydat socyalistyczny przyszedł pod ściślejsze głosowanie, ale tylko po to, aby stwierdzić, że liczba głosów w stosunku do wyborów głównych uległa zmniejszeniu...

Na zebraniu mowców czerwonych powstał

lament i narzekanie na brak powodzenia

na ziemi poznańskiej. Szukano daremnie środków wyjścia a choćby nawet sposobów, którymiby można było bodaj na jakiś czas zamydlić oczy pruskim ich dowódcom, że darmo marek krzyżackich nie biorą lecz, że łapią obficie w swe czerwone saki dusze polskiego społeczeństwa. Wszystko zawiodło. Wściekali się poprostu, jak konstatują pisma poznańskie czerwoni rybacy, że połów ich w ostatnich czasach zeszedł na psy — a jako przyczynę tego podali, że

matki-Polki bronią im przystępu do swoich gniazd.

a jako drugi powód niezem nie wykorzeniona, niewzruszona jak głaz

wiara w Boga, Polskę i przyszłość narodu.

Są jednak także i po zatem głębsze tego przyczyny.

W Poznańskiem kocha się Polskę całą duszą, całem sercem. Tam ojczyzna i dobro jej najcudniejszemi i najświętszemi hasłami wyryta w sercu każdego.

Zaognienie zaś walki narodowej i konieczność obrony, tej rozpaczliwej obrony gnębionego pięścią krzyżacką Polaka skupia społeczeństwo

pod sztandarem narodowych stronnictw

a niegna je w śmierdzące sutereny brudu i zgnilizny socyalistów.

Po drugie socyalizm markuje tam swą przynależność do pruskiej partyi, co przecież tak jak zdrowego człowieka od zarażonego trądem odpycha Polaków na dziesięć mil.

Dlatego też

hydra czerwona powoli zdycha

a czciciele tej czerwonej bestyi zawiśli w powietrzu bez żadnych podstaw i rozgałęzień na przyszłość.

*

Wedle ostatnich wiadomości otrzymanych z Marokka przez francuskie dzienniki

Abdul Azis nie daje za wygranę

i położenie jego nie jest wcale rozpaczliwe.

Pod Marakeszem toczą się jeszcze walki.

Kaid Utugi, który odznaczył się kilkakrotnie w pochodzie sułtana na Marakesz rozbił 26-go sierpnia mohallę hafidystyczną, dowodzoną przez Innaniego i zbombardował oddaloną tylko o 20 kilometrów od stolicy miejscowość Agadus.

Następnie zawezwał przywódcę załogi hafidystycznej Marakeszu, aby proklamował Abdul Azisa i otworzył mu miasto, by zapobiedz jego bombardowaniu.

Na wezwanie to nie odpowiedziano z Morakeszu, ale bramy mostu zamknięto i wyprowadzono wojsko za jego mury.

Abdul Azis znajduje się w Setacie jego Mohalla w Medunie. Jednemu z korespondentów oświadczył sułtan, że

został zdradzony, ale nie traci wiary w zwycięstwo.

Z Tangeru donoszą znów, że Muley Hafid jest więziony w Fezie przez swoich własnych stronników, niezadowolonych z jego rządów.

*

Jak zrazu po ogłoszeniu konstytucyi w Turcyi powstała niekłamana radość na wszystkich obszarach władzy sułtana tak obecnie entuzyazm konstytucyjny

poczyna w Macedonii i Bułgaryi tracić na sile

a to wskutek programu młodotureckiego odnoszącego się do spraw szkolnych. Wprawdzie program zapowiada, że w uzupełnieniu przywróconej konstytucyi zniesiony zostanie senat, że nastąpi równouprawnienie i wolność, reformy o charakterze socyalnym, ale to dla Turków ma być. Program ten w odniesieniu do

chrześcijan jest szowinistyczny,

i zagraża prawom narodowym Bułgarów i Macedończyków. Powiedziano w nim bowiem między innemi, że wszystkie szkoły w Macedonii mają być państwowe, a nauka ma się odbywać w języku tureckim, zwłaszcza w gimnazyach i seminaryach. Tylko szkoły duchowne mają pod tym względem wyjątek. Z tego powodu

powstało wielkie rozdrażnienie

u chrześcijan, co zaś wobec stanowczej w tym kierunku pozycyi Młodoturków może przemienić się w wybuch narodowościowych sporów ze wzmożoną siłą.

*

Sułtan jedzie za granicę!

aby złożyć wizytę kilku monarchom, a przedewszystkiem cesarzowi austryackiemu i niemieckiemu. Powodem tego jest to, że boi się on, aby go nie zamordowano. Zaraz poruszono sprawę w dziennikach, czy może jechać. Jeszcze przed kilku laty, gdy sułtan chciał pojechać do Francyi, wezwał on duchowych tureckich pytając się czy może jechać. Ci odpowiedzieli, że nie można, bo koran tego wzbrania. Aż znalazł się dowcipny jakiś szeik, który oświadczył, iż sułtan może stąpać po obcej ziemi,

gdy jest w walce z jakimś panującym,

więc potrzeba tylko, żeby wtedy gdy sułtan będzie wstępował na ziemię nie należącą do niego, strzelały i jego wojska i wojska tego innego państwa z armat; będzie to wojna, sułtan będzie miał prawo chodzić po obcej ziemi jako zdobywca, a opuszczając ten obcy kraj będzie mógł wspaniałomyślnie pozwolić jego monarsze panować dalej w swoim kraju z polecenia sułtana. Za tę rozumną odpowiedź szeik został sowicie wynagrodzony i sułtan pojechał do Europy.

Owóż jeżeli teraz pojedzie do Tryestu, to znowu będą grzmiały działa i austryackie w Tryeście i tureckie na jachcie sułtańskim. *(D.)*

Za mieszkaniem.

VI.

Bardzo mi się podobała ulica Kurkowa, jakoże najbliżej Strzelnicy leży i ja, mając ten ważny punkt pod bokiem — mógłbym się wkrótce nauczyć strzelać i nie jest nawet wykluczonem, że mógłbym kiedyś po latach wielu królem kurkowym zostać.

Złożyło się nawet tak, że i pomieszkanie stoi wolne, a właściwie zajmuje je jakaś partya do „pierwszego".

Drzwi otworzyła mi sama pani domu. Młoda jeszcze, dość inteligentna i piękna. Była nieco mem wejściem zaambarasowana, bo właśnie przerwałem jej bardzo pilną robotę. Miesiła ciasto na knedle ze śliwkami. Obok niej na podłodze bawiło się dwoje dzieci.

— Pssst, niech pan tak głośno nie stąpa — przestrzegła mnie już w progu.

— Chory kto? W takim razie przepraszam...

— Ach, nie. Ale widzi pan te ślepe drzwi. Za niemi jest pokój właścicielki kamienicy, która gotowa tu wpaść z kijem i dzieci mi poprzestraszać.

— Pani zapewne dlatego się wyprowadza...

— Rozumie się. Panie, przez dwa miesiące miałam krzyż Pański. Odwykłam, a tak samo i mój mąż od głośnego rozmawiania. Jak pan widzi mam na nogach pantofle. W bucikach u mnie chodzić nie wolno. A niech ją tam. Napsuła mi się już dość krwi. Męża skarżyła do sądu.

— Zaco?

— A no zato, że ją z mieszkania wyrzucił, gdy pewnego razu wpadła jak opętana zato, że chłopiec grał na drumli. Dziesiątemu zakazywać będę. I pan niech ucieka, co tchu i nawet w tę stronę nie patrzy.

Posłuchałem rady życzliwej kobieciny i poszedłem dalej, medytując nad tem, czy znajdzie się taki głupi, który mieszkanie weźmie. Przechodząc wczoraj tą ulicą — patrzę, ktoś się wprowadza. Zapytuję — do licha mój znajomy suplent gimnazyalny.

— Mój kochany, czyś ty zwaryował — zapytuję wydobywszy go z głębi domu — coś ty wynajął? Toż gospodyni to istna sekutnica. Niezazdroszczę ci...

Znajomy uśmiechnął się i odrzekł:

— Ależ nieprawda. Właścicielka wcale w tym domu nie mieszka. A tobie musiała coś naplęść moja kuzynka, której męża przeniesiono na prowincyę.

EMIL GABORIAU 27

Akta kryminalne

pod liczbą 113.

(Ciąg dalszy.)

To raptowne oddalenie obwinionego wynikło stąd, że ten nowy fakt, tak nagle objawiony, zaniepokoił sędziego. Zeznanie woźnego mogło mieć ważne następstwa. Cóż myśleć, gdyby ten człowiek zeznał, że widział jak kasyer zamykał bilety i wyszedł. Byłoż niepodobnem, że on wcześnie ujęty był przez Prospera?

Gdy obwiniony odszedł, sędzia zapytał kancelistę:

— Powiedz mi, Sigault, ten woźny, o którym mówi obżałowany, ten Antoni, wszak to ten sam, który nie stawił się do zeznania, wskutek wydanego mu świadectwa lekarskiego, że jest chory.

— Ten sam panie.

— Gdzie on mieszka?

— On już nie jest w domu, panie sędzio, jak mi mówił Fanferlot. Rana jest dość ciężką i może go długo trzymać w łóżku, więc kazał się zawieźć do szpitalu Dubois.

— A więc pojadę go wybadać dziś jeszcze, natychmiast. Zabierz z sobą co potrzeba i poślij po dorożkę.

Kawał drogi jest od pałacu Sprawiedliwości do szpitala Dubois, ale dorożkarz pana Patrigenta, zachęcony obietnicą sowitego wynagrodzenia, umiał wprawić chude bieguny w bieg koni rasowych.

Czy Antoni będzie w stanie odpowiedzieć? To była kwestya.

Ale przełożony domu zdrowia wkrótce upewnił pod tym względem sędziego.

Nieszczęśliwy woźny upadł i złamał sobie kolano, cierpiał okropnie, ale miał wszelką przytomność.

— Jeśli tak, to proszę pana — rzekł sędzia — by mnie raczył zaprowadzić do tego człowieka, którego muszę wybadać, ale trzeba, jeśli można, by nikt nie słyszał jego zeznania.

— O! nikt nie wejdzie — odrzekł przełożony — leży w pokoju o czterech łóżkach, to prawda, ale zostaje sam jeden.

— Bardzo dobrze! Idźmy więc.

Widząc wchodzącego sędziego instrukcyjnego z wysokim chudym młodzieńcem, trzymającym papiery, Antoni, który nie z jednego pieca chleb jadł, domyślał się o co chodzi.

— Aha! — zawołał — pan zapewne przychodzi w interesie pana Bertomy.

— Nieinaczej.

Pan Patrigent stanął przy łóżku chorego, a Sigault urządził papiery swe przy stoliku.

Gdy woźny odpowiedział na wszystkie zwykłe zapytania, a mianowicie oświadczył, że nazywa się Antoni Poche, ma lat czterdzieści, rodem z Cadujac i jest kawalerem.

— Mój przyjacielu — rzekł sędzia — czy czujesz się w stanie odpowiedzieć na pytania sądowe?

— Zupełnie, panie sędzio.

— Wszak to ty chodziłeś w dniu 27. lutego po pieniądze do banku w ilości 350.000 franków, które zostały skradzione?

— Ja, panie.

— O której godzinie wróciłeś?

— Dosyć późno; miałem jeszcze interes w biurze Kredytu Ruchomego, wyszedłszy z banku, musiała być dobrze piąta, gdy wróciłem do domu.

— Czy nie pamiętasz co robił pan Bertomy, gdy mu oddałeś pieniądze? Nie spiesz się z odpowiedzią, zbierz dobrze wspomnienia.

— Niech pan poczeka... najpierw przeliczył bilety, rozdzielił je na cztery paczki, które zamknął w kasie, a potem... zamknął kasę, a potem... zdaje mi się, tak, nie mylę się, tak jest, potem wyszedł.

Te ostatnie słowa wymówił tak żywo, że zapominając o kolanie poruszył się i krzyknął.

— Czy pewnym jesteś tego co mówisz? — zapytał sędzia.

Uroczysty ton sędziego przestraszył niejako woźnego.

— Pewnym! — odpowiedział z niejakiem wahaniem — uważa pan, to jest, dałbym sobie zato głowę uciąć, ale więcej trudno.

Niepodobieństwem było wydrzeć zeń dokładniejsze zeznanie. Przeląkł się, widział się już skompromitowanym, o byle co byłby się cofnął.

Ale wrażenie zostawił, i pan Patrigent wychodząc, rzekł do kancelisty:

— To rzecz ważna! bardzo ważna!

V.

Hotel pod *Wielkim Archaniołem*, schronienie panny Gypsy, jest najwspanialszym na całej ulicy św. Michała.

Kto płaci z góry za dwa tygodnie, doznaje tam poważania.

Właścicielka jego, pani Aleksandra, która była kobietą piękną, jest sobie teraz kobieta tęga, okrutnie skrępowana na gorsetem, zawsze za pięknie ubrana, kochająca się w złotych łańcuchach, które kaskadami spadają po fałdach jej potężnej piersi.

Oko ma jeszcze żywe a zęby białe, ale niestety! nos czerwony. Ze wszystkich bowiem upodobań, a Bóg wie, ile ich miała w życiu nader rozmaitych, jedno jej pozostało. Oto lubi dobrze i obficie jadło zakrapiać.

Przepraszam! ubóstwia także swojego męża, i w chwili, gdy pan Patrigent wracał z domu zdrowia, niecierpliwiła się mocno, że jej „poczciwota" niewracał na obiad. Miała już sama siadać do stołu, gdy kelner krzyknął:

— Pan idzie.

I Fanferlot we własnej osobie ukazał się na progu.

Przed trzema laty Fanferlot utrzymywał potajemne biuro informacyjne; pani Aleksandra modniarka bez konsensu potrzebowała nieraz oko na kilka podejrzanych dłużniczek; stąd pierwsze ich stosunki.

Jeżeli pobrali się na dobre w kościele i w kancelaryi urzędnika stanu cywilnego, to dlatego, iż zdawało im się, że sakrament małżeński będzie niejako chrztem, który zmaże ich przeszłość!

Od tej chwili Fanferlot odstąpił biuro swoje, i przeszedł do prefektury, gdzie już i poprzednio był używanym, a pani Aleksandra wyrzekła się magazynu.

(C. d. n.).

musiała się stąd wyprowadzić. Ja nawet sam ją o to prosiłem, żeby partye odstraszać, bo mieszkanie znakomite i bardzo tanie.

Za dwa pokoje z kuchnią tylko 50 koron.

— Czyż to było uczciwe?

— Mój drogi. Dzisiaj nastały takie czasy, że trzeba spekulować nie oglądając się na jakąś tam uczciwość. Tobie radzę, abyć tak samo postąpił.

n. r.

Bojkotowa akcya.

Organizacya bojkotowania towarów pruskich, a mianowicie sekcya agitacyjno-prasowa, po chwilowym zastoju, spowodowanym letnimi wywczasami, rozpoczęła żywszą akcyę posiedzeniem odbytem w dniu 31. sierpnia b. r. przy udziale licznego grona członków. W żywej dyskusyi nad obfitym porządkiem dziennym, przedstawionym przez referenta p. Waldta i nad licznymi jego wnioskami zabierali kilkakrotnie głos pp. Biechoński, dr. Rydygier, dr. Szpor, dr. Olszewski, Krzysztofowicz, Niewczyk i inni. W myśl wniosków referenta uchwalono: 1) odbywać analogicznie, jak przedtem, co tygodnia posiedzenia, 2) wydawać tygodniowe komunikaty do wszystkich dzienników polskich o działalności sekcyi agitacyjno-prasowej w celu informowania społeczeństwa, 3) wydać odezwę do młodzieży w sprawie kupna przyborów szkolnych i drugą odezwę do społeczeństwa o bojkotowaniu kartek korespondencyjnych obcych, jakoteż obcych kalendarzy i 4) rozwinąć szeroką agitacyę bojkotową zapomocą odczytów i zgromadzeń po miastach w całym kraju.

Sprawa zmiany w łonie prezydyum sekcyi została odłożoną na jedno z najbliższych posiedzeń.

Rzucona przez *Gońca* w numerze 34-tym myśl, by zaprowadzić na wzór węgierskiej Ligi tulipanowej kontrolę nad kupcami przez wydawanie legitymacyj dla kupców, wglądania do faktur kupieckich i publiczne ogłaszanie tych kupców, którzy istotnie bojkotują towary pruskie, znalazła gorące uznanie i poparcie w Organizacyi, której prezydyum ma na jednem z najbliższych posiedzeń przyjść z konkretnie określonymi wnioskami w tym kierunku.

Zapadła również bardzo ważna uchwała, publicznego ogłaszania tych firm, które w oszukańczy sposób nadużywają emblematów patryotycznych polskich i robią interes na pobudzonych uczuciach polskich zapomocą szumnej reklamy po dziennikach polskich — a sprowadzają towar z... Berlina.

W sprawie znanych tablic zamieszczanych na wystawach sklepowych z ostrzeżeniem, by agenci niemieccy nie wchodzili do sklepów, dowiedziono licznymi przykładami, że z małymi wyjątkami jest to poprostu reklamą, obliczoną na łatwowierność kupujących. Znanym jest fakt, że jeden z kupców ostentacyjnie wyrzucił agenta z handlu, czem sobie zyskal ogromną sympatyę — a po cichu w hotelu zawarł interes z agentem i sprowadza nadal towary z Berlina.

Wrażenia z wycieczki do Warszawy.

Rozbiór Polski — to był szatański pomysł Prusaka!

Sam nie mógł połknąć upatrzonego łupu, bo przeszkodziłaby pożarciu zazdrość sąsiadów — dlatego namówił ich do rozboju.

Naród polski rozdarty na trzy części jest niewolnikiem na własnej ziemi odwiecznej — i ledwo dyszy wyglądając zmiłowania Bożego.

Mamy utrudnione poznanie ziem naszych i miast — a jednak prawy Polak poznać powinien pierwej Gniezno, Poznań, Warszawę — niż obce miasta.

Oddawna pragnąłem poznać Warszawę, ale tam utrudniona podróż, bo bez paszportu nie wpuszczą za granicę Galicyi.

Zapłaciwszy za paszport 8 koron, wyjechałem na Kraków do Trzebini, gdzie przesiadłem się do pociągu idącego do granicy. Tam żandarm rosyjski odebrał w pociągu od podróżnych paszporty i zaprosił do hali, gdzie urzędnicy cłowi i służba przeglądali pakunki i torby.

Niemiłe wrażenie sprawia umundurowanie funkcyonaryuszy rosyjskich. Brzydkie jest, podobne do pruskiego. Jakże w porównaniu austryackie wydaje się piękne.

Wsiadłszy na granicy do brudnego wagonu — toczył się pociąg zwolna po równinie mazowieckiej, która jest podmokłą, mało urodzajną prawie do Częstochowy. Na każdej stacyi długo wypoczywał, a ożywiał go rój podróżnych — osobliwie żydków w nizkich, płaskich czapeczkach. Szwargocą tak jak i nasi, ale nie mają pejsów.

Wozy przepełnione, że nie wszyscy siedzą, stąd przymówki i spory.

Panna ubrana porządnie obraża się na żyda, mówiąc:

— Dlaczego się na mnie opiera?

— Ja tyle zapłaciłem za bilet, co i panna. Jaka harna!

Chłopiec, podrostek, oburza się na ciżbę i odzywa się do żyda:

— Poco się tak pchać! Że też do osobnego wozu ich nie zamkną!

Nato odpowiada żydek:

— Co, do osobnego wozu? Może za kratki? Kik a goj! halte pisk! Widzicie go, za kratki! jego za kratki!

W pociągu snują się przekupnie, zachwalając gorącą herbatę, świeże obwarzanki, mlekoi świeże, owoce, lody.

Tym sposobem mają tam podróżni większą wygodę, niż u nas — gdzie tylko na większych stacyach można kupić przekąskę przy pociągu.

U nas z rozkazu niektórych naczelników, wypędza służba kolejowa wieśniaczki od pociągu z jagodami, owocami.

Ale co jest wstrętne na kolei wiedeńsko-warszawskiej? Żebractwo! Mnóstwo żebraków różnego wieku i płci snuje się podczas jazdy z wagonu do wagonu naprzykrzajac się podróżnym.

Zapytałem konduktora, czy tu wolno żebrakom nachodzić podróżnych w wagonie podczas jazdy.

Odpowiedział, że nie wolno, ale on z litości pozwala.

Potem mówi mi sąsiad podróżny:

— Gdzie tam litość — to chciwość, bo żebracy dzielą się jałmużną z konduktorami.

Na stacyach stoi parę brudnych żołnierzy z karabinami, opartymi o ramię.

Dojeżdżamy do Warszawy. Kobieta jedna, wracając z Częstochowy przestrzega mnie, aby się mieć na baczności przed złodziejami, którzy przy wyjściu robią ciżbę, aby okraść wychodzących. Na drodze nie podnosić żadnego przedmiotu, bo złodzieje rzucają pugilares z kilku kopiejkami — a gdy podróżny podniesie, to opadną go złodzieje.

Jeden mówi, że to on zgubił pugilares ze znaczną sumą pieniędzy. Otwierają — a tu niema tyle, więc posądzają podróżnego, że już wypróżnił pugilares — i póty go nękają — aż się im okupi.

Wysiadamy. Budynek dworca skromny, jak u nas w Przemyślu. Jest rzeczywiście ciżba przy wyjściu. Przed budynkiem mnóstwo fiakrów i posługaczy w czerwonych czapkach.

Niespodzianie spotykam znajomego ze Lwowa, który osiadł w Warszawie. Ten wskazał mi hotel saski. Znalazłem także znajomego słuchacza Politechniki, który mnie oprowadzał po Warszawie.

Miasto w całem słowa znaczeniu piękne i czyste. Ogromna różnica między Lwowem, gdzie podczas deszczu błoto — a w dnie pogodne kurz nieznośny na ulicach.

Piętno rosyjskie nadają miastu napisy na sklepach i ulicach, jako też czapki okrągłe, plackowate, niższej warstwy społeczeństwa warszawskiego, policyi i wojska. Inteligencya i kupcy noszą kapelusze, jak u nas.

Umundurowanie wojska brzydkie. Spodnie ciemne, bluza krótka z szarego płótna, przepasana ciemnym rzemieniem, na głowie wielki placek z takiegoż płótna — co brudno wygląda. Oficerzy w popielatych płaszczach, ale ich szpecą czapki plackowate i kopystki krótkie w pochwach skórzanych przewieszone przez ramię zamiast szabli. Te szabelki noszą odwrotnie obłączkiem do góry a rękojeść na spód.

Piękne są ogrody publiczne w Warszawie, osobliwie saski i łazienkowski, gdzie przechadza się mnóstwo ludzi i odpoczywa.

Ulice są nadzwyczaj ożywione. Tramwaj elektryczny za tramwajem jedzie bardzo szybko.

Także dorożki jakby urządzały wyścigi. Język polski panujący.

Co mi się nie podoba w Warszawie — to dziwne zarządzenie, że kawiarnie i restauracye zwane dziwacznie *bar*, cukiernie i sklepy otwierają rano dopiero o godz. 8-mej a zamykają wieczorem już o 8-mej.

Być może, że to podczas stanu wojennego.

Wisła między Warszawa i Pragą już jest ogromną rzeką.

Spoglądając na przechodzących oficerów pomyślałem: Mój Boże! jaka szkoda, że idea federacyi słowiańskiej nie wniknęła już do serc rosyjskich. Jako równi z równymi w unii tworzylibyśmy potęgę trzęsącą Europą. Hej! przetrzepalibyśmy pludry Prusakom — ażby się kurzyło i przyłączyli ziemie polskie do Kongresówki.

Kiedyś to nastąpi — ale teraz trudno, bo Rosyą rządzą Niemcy. Wszak najwpływowsi jenerałowie, gubernatorzy, a nawet carska rodzina — to Niemcy, więc idą na rękę Prusakom.

Rodak.

Zjazd inżynierów wiertniczych.

We Lwowie w ubiegłą niedzielę i poniedziałek odbył się XXII. międzynarodowy zjazd inżynierów wiertniczych którzy w poważnej liczbie zjechali się ze wszystkich znaczniejszych centr naftowych w kraju i za granicą.

Już w sobotę wieczorem odbyło się w sali hotelu George'a zebranie towarzyskie, w którem wzięli udział wszyscy uczestnicy zjazdu. W niedzielę rano odbyło się w domu Tow. Politechnicznego przy ul. Zimorowicza uroczyste otwarcie zjazdu.

Obrady zagaił prof. Politechniki p. Syroczyński, obrany prezesem zjazdu. W przemowie wspomniał o zjeździe, który się odbył temu 14 lat we Lwowie podczas wystawy krajowej. Przewodniczył wtedy na nim śp. St. Szczepanowski. Wspomniał o postępach nauki w zakresie wiertnictwa, kiedy dawniej nie mogli inżynierowie marzyć o wierceniu do głębokości 1500 metrów. Najnowsze zastosowania zdobyczy wiedzy oglądną uczestnicy zjazdu na wycieczce do Borysławia. Wyraził potem żal za nieobecnymi, a zasłużonymi w wiertnictwie prof. Hofferem w Leoben, prof. Fechlenburgiem i Georgoe'm z Berlina.

Na wiceprezesów powołano prof. Wabla i inż. Wacława Wolskiego, a sekretarzami zostali obrani: dr. Bartoszewicz i Hendrych.

Prezydent miasta, p. Ciuchciński, powitał zebranych, wyrażając, imieniem miasta radość za obranie Lwowa na miejsce zjazdu. Życzył w końcu, aby ten zjazd przyczynił się do podniesienia przemysłu naftowego w Galicyi.

Przemawiali jeszcze starosta górniczy z Krakowa p. Riehl, rektor polit. lwowskiej p. Syniewski, inżynier Rawski imieniem Tow. Polit. i inż. Wolski w zastępstwie nieobocnego posła p. Gorayskiego im. kraj. Towarz. naftow. Inż. Wolski podniósł ten fakt, że Galicya była pierwszem miejscem, gdzie się przemysł naftowy najpierw rozwinął i tu powstała pierwsza lampa naftowa. W końcu zakomunikował inż. St. Horszowski zebranym, że władze centralne i krajowe pracują usilnie nad podniesieniem przemysłu naftowego i należy się rychło spodziewać polepszenia.

Następnie p. St. Libert, St. Szczepanowski, inż. Marcel Porn, inż. Mią czyński inni odczytali swe referaty na czysto fachowe tematy naftowe, przedstawiając najnowsze wyniki wiedzy w zakresie wiertnictwa.

O godzinie 3-ciej popołudniu posiedzenie odłożono do poniedziałku rana.

W poniedziałek wygłosił p. Adam Klebert referat o „normaliach połączeń gwintowych przy narzędziach wiertniczych“, poczem inż. Wacław Wolski przedstawił model żórawia wiertniczego swego pomysłu.

Uczestnicy zjazdu z zaciekawieniem oglądali nowy ten model, wyrażając się o nim z wielkiem uznaniem. Na tem o godzinie 2-giej zakończono obrady.

Następnie goście zwiedzili muzeum przemysłowe i Miejską galeryę obrazów, oprowadzani przez wiceprezydenta dr. Rutowskiego i artystę M. Harasimowicza.

Z Muzeum przemysłowego udali się uczestnicy zjazdu do muzeum im. Dzieduszyckich, a stamtąd na Politechnikę. Tu przed gmachem odfotografowano wszystkich uczestników zjazdu, poczem zwiedzili oni muzeum geologiczne i mineralogiczne Politechniki. Stąd udano się do gabinetu prof. Syroczyńskiego, gdzie pp.: Fajgenbaum i Bard demonstrowali nowy sposób opalania mieszkań ropą. Nowy ten sposób polega na tem, że skrzynkę z ropą systemu wynalazców wkłada się do zwykłego pieca i w ten sposób opala. Fachowcy bardzo pochlebnie wyrażali się o tym nowym wynalazku, uważając ten system za najlepsze rozwiązanie kwestyi opalania mieszkań ropą.

Wieczór spędzili uczestnicy zjazdu w teatrze, gdzie ogólnie podobał im się 1-szy akt Halki.

We wtorek o godzinie 7·30 wyjechali uczestnicy zjazdu do Borysławia.

W obronie czci.

Czytelnikom *Gońca* tkwi zapewne dobrze jeszcze w pamięci — niedawno, bo w miesiącu czerwcu br. przeprowadzona rozprawa przed sądem przysięgłych w Stanisławowie, inspektora kolejowego p. Benedykta Siebauera — oskarżonego o malwersacyę.

Musimy dzisiaj jeszcze raz do tej niemiłej sprawy powrócić.

Jak wiadomo dochodzenie, a następnie i proces cały, przeprowadzony przeciwko p. Siebauerowi, wywołała agitacya socyalistyczna, której kością w gardle stanęła była działalność społeczna znienawidzonego inspektora.

Usłużni się znaleźli, którzy w działalności urzędowej p. Siebauera, przeciążonego pracą urzędową i mającego do dyspozycyi skandalicznie mały personal pomocniczy, znalazłszy pewne usterki i nieprawidłowości, rozdmuchali je w płomien niebywałych i niesłychanych nadużyć, defraudacyi i kradzieży w dyrekcyi kolejowej w Stanisławowie.

Rzecz całą w prasie czerwonej upozorowano tak zręcznie — i z taką perfidyą — na jaką się tylko taktyka socyalistyczna zdobyć może — a przytem złożyły się tak dziwne okoliczności — że całe oskarżenie w przeprowadzonym procesie, które wysnuto przeciwko p. Siebauerowi tylko na po-

dejrzeniach i przypuszczeniach oparte być musiały.

Werdykt sędziów przysięgłych wydał wyrok uniewinniający — wrócił p. Siebauerowi cześć obywatelską — ale nie zaspokoił obrażonego uczucia godności i prawdy.

Z tego też stanowiska wychodząc, ogłosił p. Siebauer drukiem obronę swoją, opisując najdokładniej całą sprawę.

I rzecz dziwna. Zaledwie ta obrona ujrzała światło dzienne — a już promień prawdy zaczyna oświecać sprawę całą.

Oto przeciwko temu — który w procesie był klasycznym świadkiem dowodowym na potwierdzenie nadużyć popełnianych przez p. Siebauera — przeciwko asystentowi Romanowi Kalicie wytoczyła dyrekcya kolejowa dyscyplinarne dochodzenie o defraudacyę materyałów sekcyi konserwacyi (naturalnie tych, które on zarzucał Siebauerowi).

Śledztwo prowadzi sekretarz dr. Tannenbaum.

Kalitę zasuspendowano — a sprawa toczy się dalej.

I co na to dzisiaj powie opinia stanisławowska, co przyjaciele p. Romana Kality — i ci wszyscy — których dobrodziejem był Siebauer, a którzy się tak cieszyli, że Kalita zasypie swego inspektora?

Z tajemnic lwowskiej policyi.

Pajęcza siatka.

(Ciąg dalszy).

— Panowie pozwolą, że poproszę ich o zachowanie w ścisłej tajemnicy całej sprawy, o której opowiem. Niczego bowiem tak się nie boję, jak języków przyjaciółek, które dla znajomych udają wielką życzliwość, całują je, ściskają, a poza ich plecami obgadują tak, że suchej nitki nie zostaje. Oto dlaczego nie jawiłam się w policyi osobiście, ani też panów do mego domu nie prosiłam. A sprawa moja nader poważna. Proszę tylko uprzejmie posłuchać. Wyszłam za mego męża, mając lat 20. Pomimo, że był o piętnaście lat odemnie starszy, żyliśmy przez siedm lat najzupełniej szczęśliwi. Mamy dwoje dzieci, sześcioletniego chłopca i czteroletnią dziewczynkę. Pracowałam, oszczędzałam jak mogłam, dzięki czemu kupiliśmy w zeszłym roku piętrową kamieniczkę, aby lichwiarzom murów nie opłacać. Mąż, urzędnik siódmej rangi ma taką pensyę, z której już można nietylko wyżyć ale i cokolwiek na czarną dolę zaoszczędzić. Nie będę panów nudzić długiem opowiadaniem o mojem szczęściu. Było ono zupełne, nie pragnęłam więcej niczego na świecie.

Ale szczęście, to coś, co jak mgła poranna powoli się rozpływa, albo też czasem zniszczy je jakiś wypadek, jak pożar wieś. U mnie zaszedł ten pierwszy wypadek. Już przed kilkoma miesiącami zauważyłam u męża pewną zmianę. Począł coraz częściej mnie zaniedbywać, wracając późno w noc do domu, coraz opryskliwszy, i nieznośniejszy. Przypisywałam to rozstrojowi nerwów, podejrzywałam go o grę hazardową w karty, niczego jednak od niego wydobyć nie było można. Całą prawdę odkrył dopiero przypadek. Wpadł mi w ręce list. Proszę, niech panowie przeczytają. Z niego dowiedziałam się całej prawdy. Mój mąż ma metresę, która zniszczyła moje szczęście, szelma jakaś, Pan Bóg by jej ciężko zapłacił.

Wybuchła spazmatycznym płaczem i ledwie zdołaliśmy ją uspokoić. Ukryła twarz w dłoniach, tłumiąc przemocą łkanie, a komisarz czytał:

„Mój nieznośny Pipi!

Jestem bardzo niespokojna, dlaczego wczoraj nie przyszedłeś. Miałam wielką ochotę natrzeć Ci oślich uszu za Twoje kłamstwo. Memi nie lubi, aby ją okłamywać, a Ty niedołęgo, Ty słupie telegraficzny, najbezczelniej w świecie ją okłamałeś. Powiedziałeś, że kolczyki brylantowe kosztują trzy tysiące koron, a w banku nie chcieli mi dać nawet tysiąca, więc ich nie zastawiłam i myślę, że dziś przyjdziesz, bo ta małpa krawcowa chce koniecznie wszystkich pieniędzy, zanim do kąpiel wyjadę. Czekam więc dziś na Ciebie o dziewiątej, a jak nie, to więcej nieprzychodź, a dziecko to ja Twojej żonie zaniosę.

Ale Ty przyjdziesz nieznośniku, prawda?

Ciumam, ciumam tysiąckrotnie Twoja zawsze i niczyja więcej

Memi“.

— Pan komisarz pozwoli, że obejrzę ten list.

— Proszę. Dość charakterystyczny a przedewszystkiem zupełnie jasny i zrozumiały. Pisała go kokota ostatniego sortymentu, pijawka z pod ciemnej gwiazdy, jakich w naszym mieście setki naliczyć można. Biada temu, kto wpadnie w ich szpony!

Wziąłem do ręki papier i omal nie wykrzyknąłem ze zdziwienia. W lewym rogu u góry była — siatka pajęcza. Wyjąłem z portfelu list, pisany do mnie przez nieznajomą wielbicielkę mego pióra — ten sam papier, to samo pismo.

— Cóż to panowie odkryli? — zapytała żywo oszukiwana żona.

— Bardzo ważny szczegół — odpowiedziałem. Ta małpica, która zniszczyła pani szczęście, koresponduje ze mną.

— I pan ją zna?

— Niestety. Gdyby nie wezwanie komisarza, byłbym ją może poznał. — Naznaczyła mi schadzkę na siódmą.

— To ciekawe, to prawdziwie holmesowski problem — zauważył komisarz, trąc czoło dłonią.

— Chwała Bogu, że jest jakiś wątek — mówiła pani z pewnym ożywieniem. — Może panom we dwu łatwiej się uda ją wynaleźć. — Te tysiące na brylanty dla niej, są niewątpliwie pożyczone na hipotekę naszej kamieniczki. Dałabym ja jej brylanty! Razem z jej uszyma znalazłaby się w moich rękach. Przepraszam panów, za niewłaściwe wyrażenie, unoszę się mimowoli, ale panowie wybaczą, znając moje rozdrażnienie. — A czem się odpłacę, to doprawdy nie mam pojęcia.

— Ja również niemam pojęcia o tem, czy mi się uda cokolwiek pani dopomódz — mówił komisarz.

— Pan? Taki sławny? Taki lwowski Holmes? Nie, panie. Wierzę w to że pan w krótkim czasie załatwisz moją sprawę znakomicie, przyjaciel pański opisze to kiedyś ze zwykłą sobie swadą ku nauce i przestrodze czytającej publiczności, nieprawdaż, panie doktorze?

— Jestem w tej kabale osobiście interesowany, i wierzaj mi pani, uczynię wszystko, by pomódz pani, no i komisarzowi.

(C. d. n.)

Do P. T. wyborców I-go okręgu miasta Lwowa.

W imieniu karności i solidarności narodowej — wzywamy tych obywateli wyborców, którzy z jakichbądź przyczyn są chwilowo nieobecni we Lwowie, ażeby na dzień 7-go września b. r. powrócili i spełnili swój obowiązek obywatelski — głosując jednomyślnie na kandydata narodowego, którym jest:

Dr. Gustaw Roszkowski.

Człowiek-małpa.

(*Studyum kawiarniane*)

Podłysiały, o głupim wyrazie twarzy, z nieumytym karkiem i w surducie zalatującym benzyną — przybliżył się do mnie w kawiarni, prosząc o pożyczenie na chwilę ołówka.

Podałem mu go w milczeniu. Odpisał sobie jakiś inserat z dziennika i zapytał:

— Przepraszam pana, czy Abazya należy do Austryi?

— Należy — odparłem sucho.

— To marka za 10 halerzy wystarczy?

— Wystarczy.

— A na korespondentce za pięć?

— Za pięć.

Tak go zbywałem, ale on się tem niezraził.

— Wie pan, co jest? Jakaś niemiecka makarela szuka sobie męża z Galicyi. Ma 160.000 marek posagu. Chce tylko, aby mąż był przystojny i inteligentny. Ja napiszę...

— Napisz pan.

— Może się uda, co?

— Niewiem.

— Bo, widzi pan, ja mam szalone szczęście do dziewcząt.

— To bardzo ładnie.

— We Lwowie, mówię panu, niema takiej, z którą jabym już nie romansował. Od arystokratów aż do ostatniej drukarki... ja z każdą już...

— Pozazdrościć panu.

— Jak Boga kocham!

— Ależ ja panu wierzę.

— Kiedy bo pan tak mówi, jak gdybym breszył. Pan pojęcia niema, jak na mnie kobiety lecą. Zna pan Anielę R., tę byczą mężatkę z takimi kłębami jak u łani...

— Łania niema kłębów.

— No, ja tylko tak mówię. Zna ją pan?

— Znam.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

— To tego... to ja z nią bardzo długo chodził. Fajna kobieta. Potem mąż coś wymiarkował i musiałem od niej odwalić. A pannę S. pan zna także?

— Także.

— Widzi pan, tylu się koło niej kręciło, a ona za mną waryowała. Raz ojciec nas złapał i dał mi w pysk... co się pan na mnie tak patrzy? Według mnie, dostać w pysk za kobietę — to żaden wstyd. A pan jak myśli?

— Ja nic niemyślę.

— Bo, wie pan, przecie trudno, abym się z ojcem bił. Zbałamucić mu córkę i jeszcze go nawalić, nato honor niepozwala. Wszak prawda?

— Prawda.

— A może pan zna tę Franię W., tę słynną piękność, co to miała wyjść za inżyniera kolejowego. Zna pan ją też?

— Też.

— To ten inżynier przezemnie się z nią nieożenił. Podpatrzył raz, jak do mnie list pisała, i z listu zaraz wymiarkował, że Frania jest perdutta. O małośmy się niepojedynkowali...,

— Z Franią?

— Nie, z tym inżynierem, ale o Franię. Wpadł do mnie, abym mu wydał wszystkie listy jego narzeczonej, bo inaczej mnie roztrzęsie. Tak ja mu je dał dla świętego spokoju i aby nie psuć losu dziewczynie, ale on się z nią potem takoj tak nie ożenił. Szuja, co?

— Szuja. Ale pan gorszy.

— Ja? A to dlaczego?

— Tak.

— Przepraszam pana, ale pan mnie obraża. Jak się pan nazywa?

— A pan jak?

— Ja jestem Urban F., praktykant rachunkowy. I ja, proszę pana, ja się niedam obrażać w kawiarni!

— Tylko gdzie?

— Jakto gdzie? Nigdzie! Niech pan to odwoła.

— Odwołuję.

*

Na drugi dzień mówiono w całym Lwowie, że między mną, a panem F. przyszło do gwałtownego zajścia o kobietę, że on mnie wyzwał na pojedynek, ale ja stchórzyłem i wolałem go publicznie przeprosić, niż narażać się z nim na orężną rozprawę.

W szklanej trumnie.

(Do ryciny na 1 str.).

Jeszcze jedna osobliwość z kraju wszystkich niemożliwości, z Ameryki.

Szklana trumna, ale dla żyjącej osoby! Zdawałoby się dziwactwem, a jednak ma pewne uzasadnienie.

Sprawa przedstawia się następująco: Żona bardzo bogatego kupca, p. Tryon, przebyła przed paru laty ostre zapalenie płuc. Od tego czasu stała się nadzwyczajnie wrażliwą na wszelkie zmiany powietrza. Drżała przy najlżejszem powiewie. Lekarze radzili jej pojechać koniecznie gdzieś na południe; domownicy pani Tryon zachodzili w głowę, jak urządzić podróż, aby ta w jakikolwiek sposób nie ucierpiała wśród przejazdu.

Najlepiej poradziła sobie sama chora. Rozkazała sobie mianowicie sporządzić wygodną, ściśle do wymiarów jej ciała zastosowaną skrzynię szklaną. Pod spodem umieszczono doskonałe sprężyny, na nich materace, a na tych znów poduszkę z bardzo delikatnego pierza. Podwyższenie na głowę umocowano, aby się nie przesuwało. Nad niem umieszczono lampę elektryczną z przewodem, który wszędzie można połączyć z przewodem, dostarczającym siły elektrycznej. Z prawej strony wewnętrz przytwierdzono akurat na wysokości ręki małą półkę na książki i mały zegar.

To stanowiło całe umeblowanie „podróżnej trumny“. Dostęp powietrza umożliwiono w ten sposób, że „powałę“ czy też wieko tego szczególnego domku podzielono na kilka ruchomych, zsuwalnych i rozsuwalnych części, przez które można było regulować dopływ powietrza do wnętrza skrzyni.

Teraz, po zrobieniu skrzyni, zaczęła się p. Tryon przyzwyczajać do życia w nowym „domku“. Po kilku dniach była już zachwycona swą skrzynią i nie chciała jej ani na chwilę opuszczać. Biedna kobieta przykuta dotąd do łóżka, i drżąca za lada przewiewem, odetchnęła teraz i rozkoszowała się „wolnością“ poruszeń i zachowania się w swem szklanem więzieniu ochronnem.

Potem zaczęła się podróż. Lecz właściciele hoteli wzbraniali się przyjąć p. Tryon z jej „trumną“, bojąc się odstraszać innych gości, wrażliwych na grobowe efekta. Mąż musiał dopiero nająć osobny domek.

Dla rozrywki ma biedna chora koło swej skrzyni fonograf, małą, zabawną kotkę, a ze służącą rozmawia przez telefon, choć ta stoi o dwa kroki od skrzyni.

P. Tryon jest smukłą, bladą kobietą, ogromnie miłą. Słynnemu malarzowi angielskiemu, Burne Jonesowi, który malował takie szczupłe, jakby cierpieniem wyidealizowane kobiety, mogłaby być znakomitym modelem.

Z Łańcuta.

30. sierpnia br.

(*Korespondencya własna „Gońca“*).

(*Obchód grunwaldzki*).

Przeżyliśmy w ubiegłą niedzielę górną i słoneczną chwilę. Łańcut święcił jak jeszcze nigdy wiekopomną i nieśmiertelnej sławy pamiątkę jednego z największych w dziejach państw europejskich, pogromu krzyżactwa przez bohaterskiego króla polskiego Jagiełłę na polach Grunwaldu i Tannenberga. Kto zna życie prowincyi ten wie, że takie chwile są jak płomieniste ogniska, ten wie, że one tworzą przełom w naszem codziennem, częstokroć monotonnem i bezdźwięcznem życiu a bardzo często rzucają myśli nasze i cele nasze na nowe tory i gościńce. Że ostatnia uroczystość właśnie taką chwilą była, o tem każdy dziś u nas wie i o niej każdy u nas, czy pan, czy mieszczanin i siermiężny lud, czy rękodzielnik po długie czasy pamiętać będzie.

Bo też Łańcut wspaniale uroczystość tę uświęcił. Za inicyatywą p. Sulimirskiego prezesa czytelni kolejowej utworzono komitet obchodowy, złożony z reprezentantów wszystkich miejscowych towarzystw.

W niedzielę rano po uroczystej sumie w kościele, udał się pochód złożony ze stowarzyszeń, cechów ze sztandarami, z muzykami i nieprzebranym tłumem do pięćwsiecznej publiczności wszystkich stanów na rynek. Najliczniej reprezentowane było włościaństwo, pomimo niepogody i odpustu, który współcześnie miał miejsce w sąsiedniej wsi. Tu pod tablicą Sobieskiego stanął na trybunie zaproszony przez komitet ze Lwowa, znany szermierz idei narodowej p. Bogdan Krzysztofowicz.

W niezamąconej ciszy, pomimo padającego deszczu, w powadze i skupieniu tysiącznych rzesz wysłuchano płomienistych słów mowcy. Bo też rzadko kto jak Krzysztofowicz mówić do dusz ludzkich potrafi.

Czuje się w jego mowie potęgę wiary, która wartkimi strumieniami wlewa się w słuchaczów, która gra na duszach jak na strunach a tchnie taką miłością Polski, takiem ukochaniem jej spraw, że słuchacz lgnie do prawdy, czuje uczuciem mowcy i wierzy jego wiarą.

Mowca podał znaczenie obchodów narodowych, przebiegł lata martyrologii Polski, wskazał nam obowiązki i omówił bieżące sprawy narodowe; osobno był apel do kobiet Polek, by zawiązywały komitety po wsiach i miastach w celu stałego popierania Macierzy śląskiej, kresów wschodnich i żywego pomnika. Głównie zaś podkreślił konieczność narodowej samoobrony w założeniu Polskiej ligi narodowej, mającej z Polaków ojczyznę miłujących zbudować bojowe kadry karnych i Polsce oddanych żołnierzy.

Gorąco i serdecznie podziękował mowcy w imieniu powiatu poseł i marszałek powiatowy p. Żardecki a imieniem komitetu p. Sulimirski.

O 4-tej popołudniu w Sokole odbył się odczyt słuchacza teologii Antosza i przedstawienie „Wozu Drzymały" przez młodzież gimnazyalną. Sala zapełniona była do ostatniego miejsca publicznością, wśród której przeważało włościaństwo. Wieczorem zaś o 8-mej urządził komitet uroczysty wieczór dla inteligencyi, na który złożyły się: Słowo wstępne wypowiedziane przez p. Krzysztofowicza, śpiewy chóru młodzieży, i odegranie „Wozu Drzymały" oraz 3-aktówki Królińskiego „Urlopnik".

Z życzeniem, aby takie obchody u nas urządzano częściej i częściej podnoszono serca a rozpalano miłość Polski w duszach polskich, w podniosłym nastroju o 11-tej w nocy publiczność w spokoju rozeszła się do domów. △.

POSĘPNY LOS.

Posępny, ciężki los,
naszego pokolenia.
Za ciosem bije cios
w czarowny gmach złudzenia,
Nie wiemy, gdzie nam iść,
nie wiemy, skąd idziemy,
Jak zwiędły, suchy liść,
przez świat się toczym niemy.
Duszący zwątpień mrok,
ogarnął nas dokoła,
Nie błyska ogniem wzrok,
bezmyślnie gną się czoła.
Straszliwa pustka w nas!
Nie znamy drgnień zapału,
Obojętności głaz,
przywala nas pomału.
Nie dbamy o to już,
co będzie, co się stanie,
Czy złote blaski zórz
obwieszczą nam zaranie,
Czy trupy żywe, gnić
wciąż będziem sami jedni,
My chcemy tylko żyć
i mieć nasz chleb powszedni.

*

O! pieśni, zbudź nas, zbudź,
swych dźwięków huraganem!
Po stokroć lepiej łódź
na morzu rozhukanem
Na szturmy rzucić fal:
niż wpadłszy w morską ciszę,
Mrzeć, w siną patrząc dal,
jak fala się kołysze.
O! pieśni, przemów ty
symfonią nieskończoną!
Niech z oczu trysną łzy,
burzliwe zadrga łono;
Niech mchem porosły głaz
uczuje ognie żary;
Niech zdumion ujrzy czas,
jak zwątpień pierzchną mary.
O! pieśni, karz i sądź,
grzmij w piersi strupieszałe!
Mojżesza laską bądź
i twardą rozbij skałę!
Niech Feniks natchnień znów,
z popiołów zimnych wzleci
I gwiazdą wielkich snów,
lśni długi ciąg stuleci!

Zenon Przesmycki (Miriam).

KRONIKA.

Kalendarzyk:

We środę rz.-kat. Justa B. — gr.-kat. Jamuiła.

We czwartek rz.-kat. Bronisławy i Izabeli. — gr.-kat. Ftadeja.

MIEJSCOWA.

Dr. Kazimierz Podlewski po kilkutygodniowej nieobecności powrócił do Lwowa i ordynuje jak dawniej, ulica Akademicka 14.

Wypadek na budowie. Podczas znoszenia pak z cementem przy budowie kanału na ul. Kochanowskiego upadła wczoraj paka i zmiażdżyła nogę robotnikowi Grzegorzowi Żulińskiemu. Pogotowie ratunkowe odwiozło go do szpitala.

1000 koron w banknocie znalazł wczoraj w ul. Żółkiewskiej architekt p. Jan Schulz.

Niedozór nad dziećmi jest powodem ustawicznych wypadków. Wczoraj znowu czteroletni syn szewca, Seweryn Kaczorowski, wybiegłszy z ulicy Koralnickiej, wpadł pod jadącą ul. Zimorowicza stosunkowo powoli dorożkę i dostawszy się pod konie odniósł silne potłuczenia.

Alarm pożaru. W sklepie z chustkami Leisora Gutwirtha, mieszczącym się na 1 piętrze domu pod l. 2 przy ulicy Szpitalnej, zauważono wczoraj o godzinie pół do 4-tej popołudniu silny swąd i dym. Zaalarmowano straż pożarną. zanim jednak straż przybyła, przekonał się personal sklepowy, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, iż z niewiadomego powodu, zatliła się jedna chustka wełniana. Zaraz więc stłumiono „pożar", który wyrządził szkodę na około 10 koron.

Cała familia pod kopytami koni. Ten ci dopiero jeździ, jakby na igrzyskach olimpijskich! Nazywa się Onufry Zacharczuk, a jest dorożkarzem odznaczonym Nr. 366. Wczoraj o zmierzchu pędząc ulicą Słoneczną, najechał na całą rodzinę Mojżesza Fellera. Ojciec, matka i dziecko, runęli pod kopyta końskie a dorożkarz przejechał się po nich jak wicher. Wszystkich opatrzyło Pogotowie.

Nasz reporter pisze:

Sezon książkowy już się rozpoczął. Setki mam i tatusiów biorą swoje pociechy za rączęta i prowadzą je od księgarni do księgarni jak w Wielki Piątek na Boże groby po kościołach. A czego oni wszyscy odbywają taką procesyę od księgarni do księgarni, może mi Szan Redakcya dokumentniej wytłumaczy. Brak książek? Oj to prawda. Nasze groną profesorskie chcą jedne drugie prześcignąć w mądrości i wymyślają, bądź też dostosowują coraz to nowe podręczniki, nowe zmienione wydania, aby wydawca, czy to jakiś tam królik trustowy Jakubowski czy inne Tow. nauczycieli szkół wyższych w gremialnej roli spekulanta księgarskiego miały rotszyldowskie dochody. Książki szkolne są zresztą tak drogie, jak zabytki językowe z XV. wieku. Wydawca zarabia na egzemplarzu kosztującym np. 2 korony — 1 koronę na czysto, czyli 50 prc. Bo trzeba wiedzieć, że nakład książek szkolnych wynosi kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy i w przeciągu jednego, dwu lat wyczerpuje się. Aby zaś dalej sprzedawać robi się nowy „zmieniony" nakład, by egzemplarze poprzedniego wydania unieważnić. W ten sposób niektóre podręczniki dosięgły już kilkunastu wydań. Prawda jakie to proste i jakie... rentowne? Może jabym się na takie podręczniki puścił... To wcale nie trudno napisać podręcznik, a właściwie odpisać trochę stąd, trochę z owąd i już jest.

Czy Redakcya już swoje dzieci gdzie zapisała? Trzeba się spieszyć; bo potem będzie przepełnienie.

A kto sprytny, ten wygra. Malutka protekcya także nie zaszkodzi. Nawracając się jednak do poprzednio poruszonej książkowej rzeczy, wzymam Redakcyę, aby zakupiła książki u antykwarzy. Bo antykwarze to bardzo biedni ludzie. Na jednej książce zarabiają marne 60 do 80 procent. Więc w imię obowiązku obywatelskiego wspomagać ich trzeba.

A tymczasem pilniejsza rzecz — trzeba wspomagać Nykołę Hankiewicza, bo mu się jedna noga powinęła, a druga także w łydce się telepie i gotów się nosem do ziemi wywrócić, a to byłoby dla Lwowa rzeczą niehonorową, jeśliby na to pozwolił.

Bo co to jest jakiś tam pan Roszkowski kontrakandydat Nykoły? Profeser uniwersytetu. Ou wa wielkie mycyje. A czy on choć raz był w szynku i słyszał, jak to się wykłada teoryе socyalistyczne pijanym towarzyszom o włamaniach, napadach, grabieżach, oszustach, itp. dogmatach czerwonej ewangelii? Miał on choć raz w ręku kamień, kiedy na tłum naciera konna policya? On tylko w książkach jak mol grzebać umie, a moli w austryackiej Radzie państwa niepotrzeba tylko takich gębaczy, tęgich w biodrach, w pysku i łapach jak Hudec, Diamand, Baczyński, Petryckij i wykłuwający się z jajka Mykoła. Ten ci jak huknie w Izbie poselskiej „Szcze newmerła i Krew naszą leją katy" to aż wieża św. Szczepana może się zawalić.

I dlatego bardzo Szan. Redakcyę przepraszam, że będę głosował na Mykołę, chociaż do okręgu pierwszego nie należę i legitymacyę dawno już hyjenom socyalistym sprzedałem.

Dozorca z rewolwerem. Dozorca robotników, zajętych w nowej remizie, Jan Zaczkiewicz, najmując wczoraj ludzi, płacił im wbrew zwyczajom tylko po 2 kor. 40 hal. Rozgoryczeni robotnicy poczęli szemrać, czem zirytowany dozorca wyjął rewolwer i groził im tak długo, aż aresztowano go i odstawiono na inspekcyę, gdzie ramię władzy odebrało mu śmiercionośne narzędzie.

Złodzieje co narkotyzują. Włamywacze, dokonujący kradzieży po mieszkaniach letnich na odległych przedmieściach Wiednia, poczynają coraz częściej używać do pomocy środków narkotycznych. Onegdaj z rana zaszedł taki wypadek w domu pewnego lekarza. Służba dziwiła się mocno tem, że państwo do południa nie dzwonili ze sypialni. Pokojowa nabrała podejrzenia, że tam może zaszło coś niezwykłego, weszła więc w południe do sypialni i zastała państwo w stanie anormalnym. Obydwoje jęczeli, cicho, jakby pół we śnie, a pół na jawie. Sprowadzono natychmiast lekarza i ten skonstatował, że państwo byli znarkotyzowani. Po przebudzeniu ich i otrzeźwieniu wykryło się, że w nocy ktoś zakradł się do ich mieszkania, oboje państwo znarkotyzował, a następnie korzystając z ich uśpienia, wypróżnił obie szafy z garderobą. Pieniędzy i kosztowności ukrytych w małej szafce nie dotknął, bo snać nie wiedział o tem, że tam są ukryte.

Wydział Czytelni akademickiej we Lwowie podaje do wiadomości nowo wstępujących na uniwersytet i politechnikę lwowską, że udziela chętnie wszelkich informacyi tak ustnie codziennie od godz. 5—7 wiecz. jak i pisemnie za nadesłaniem kartki na odpowiedź. Zgłaszać się należy do Czytelni akademickiej we Lwowie, Dom akademicki".

Zmiany wyznania we Lwowie W lipcu br. zmieniło wyznanie ogółem 30 osób, a mianowicie 27 osób obrządku grecko-katol., 1 wyznania rzymsko-katol., 1 wyznania ewangelickiego i 1 mojżeszowego. Z tych 30 osób 26 przeszło na obrządek rzymsko-katolicki, 1 na wyznanie ewangelickie, 3 zaś ogłosiło się bezwyznaniowemi. Wśród zmieniających wyznanie było 17 mężczyzn i 13 kobiet; co do wieku było wśród tych trzydziestu 10 między 20 i 30, 11 między 30 i 40 rokiem, 6 liczyło do 20 lat, 1 do 50 lat, 1 do 60 i jedna ponad 60 lat wieku.

Konkurs na sekretaryat uniwersytetu. Jak donosiliśmy swojego czasu, postanowił senat akademicki zmienić dotychczasowa praktykę powierzania prowadzenia sekretaryatu uniwersytetu któremuś z docentów, i zamianowac stałego sekretarza. Obecnie rozpisuje senat konkurs na tę posadę z terminem wnoszenia podań do 20. bm. Na razie obsadzoną będzie ta posada prowizorycznie. Przywiązane są do niej pobory IX. klasy urzędników państwowych. Jako kwalifikacye wymagane są od kandydatów ukończone studya prawnicze i złożone z dobrym stopniem teoretyczne egzamina państwowe.

Wpisy na rok szkolny 1908/9 odbędą się w szkole im. Piramowicza w dniach 10., 11. i 12, września, o godz. 9—12 przedpołudniem i od 4—6 pop w budynku szkolnym, przy ul. Wałowej 4.

Bezczelność lwowskich adonisów Onegdaj wracała z teatru w towarzystwie matki znana artystka teatru miejskiego p. Jadwiga Brzozowska. Tuż w pobliżu teatru na wałach przyczepiło się do niej czterech eleganckich drabów, nagabując ją w bezczelny sposób. Dopiero koło kawiarni wiedeńskiej spostrzegła panna Brzozowska wśród przechodniów jednego ze swoich znajomych i poprosiła go o obronę. Dzięki energicznej pomocy tego mężczyzny, draby się odczepili, wykrzykując i drwiąc z artystki. Działo się to wieczorem nie bardzo późno. Jest to wprost niepodobne do wiary, aby w centrum miasta przed godziną jedenastą w nocy szajka adonisów bezkarnie grasowała pod okiem konnego policyanta. Niestety u nas wszystko możliwe.

Szkarlatyna sroży się coraz bardziej! jak to wskazuje poniżej zamieszczony biuletyn biura sanitarnego.

W dniu 31. sierpnia b. r. przybyło chorych na płonicę:

W okręgach sanitarnych I. (Żółkiewskie) 5, II. (Łyczaków) —, III. (Zielone) 1, IV. (Chorążczyzna) —, V. (Nowy Świat) 1, VI. (Grodecka) 7 VII. (Śródmieście) 1, wojsko —, obcy —. Razem 15.

Umarło 2, wyzdrowiało 4, razem ubyło 6.

Pozostało w leczeniu:

W okręgu sanitarnym I. 68, II. 7, III. 13, IV. 1, V. 33, VI. 74, VII. 15, osób. Razem 211 osób.

W szpitalach leczy się 49 osób. Razem 260 osób.

W sprawie szkarlatyny otrzymujemy z magistratu następujące zestawienie:

Stan płonicy z 31/8 1908:

Stan z dnia poprzedniego razem osób 247.

W tem miejscowych 231, obcych 16, w domu 195, w szpitalach 52.

Przybyło dnia 31/8 1908 razem osób 15.

W tem miescowych 15, obcych —, w domu 14, w szpitalu 1.

Razem chorych osób 262.

W tem miejscowych 246, obcych 16, w domu 209, w szpitalach 53.

Wyzdrowiało 6.

Umarło 8.

Razem ubyło 11 osób.

W tem miejscowych 11, w domu 8, w szpitalach 3.

Pozostaje w leczeniu 251 osób.

W tem miejscowych 235, obcych 16, w domu 201, w szpitalach 50.

Nowo zgłoszeni chorzy pochodzą z ulic: Dekerta, Bogdanówki, krol. Jadwigi, Żółkiewskiej, Spadzistej, Piotra Skargi, Skarbkowskiej i Zielonej.

Fałszywe alarmy:

W sobotę wieczorem doniesiono fizykatowi anonimowo o rzekomo 20 wypadkach płonicy w jednej z kamienic przy ul. Zielonej. Udało się tam zaraz dwóch lekarzy. Okazało się, że jest tam tylko jeden wypadek, i to już fizykatowi znany.

Obowiązek donoszenia o chorobie:

Uchwała Rady miejskiej, co do obowiązku donoszenia w wypadkach zachorowania na płonicę, tak przez lekarzy, jak i właścicieli sklepów, pracowni i domów względnie ojców rodzin wydała pożądany skutek. Od soboty zgłoszenia płyną niezwykle licznie, jakkolwiek jest w nich wiele wypadków znanych, będących już w okresie łuszczenia, donoszą też o chorobach, będących następstwem płonicy, przebytej już przed szeregiem tygodni.

Wypadek w Kleparowie:

Drogą prywatną dowiedział się magistrat o pewnym rzeźniku z Kleparowa, którego dziecko chore było na szkarlatynę, a mimo to on sprzedawał tu w bazarze mięso i stykał się z ludźmi w rzeźni. W dwa dni później rzeźnik ów wykazał się świadectwem, że dziecko wyzdrowiało. O wypadku tym c. k. Starostwo lwowskie wcale fizykatowi nie doniosło.

Pogotowie:

Dla załatwiania piekących spraw epidemii szkarlatyny, Departament sanitarny (IX.) magistratu utrzymuje stale Pogotowie do godziny 6-tej wieczór, zaś biuro Fizykatu do godziny 8-mej wieczorem.

Mianowania. Cesarz zamianował dziekana i proboszcza w Bieczu ks. Leona Pastora, oraz proboszcza w Jaśle ks. Aleksandra Kwiecińskiego, honorowymi kanonikami rzym. kat. kapituły w Przemyślu. Radca sądu krajowego w Tarnowie, dr. Władysław Kruczkiewicz, mianowany radcą wyższego sądu krajowego w sądzie obwodowym w Rzeszowie.

Z KRAJU.

Stronnictwo ludowe odbyło w niedzielę w Łańcucie w sali „Gwiazdy" przy udziale około 100 uczestników zebranie w sprawie klęsk elementarnych i utworzenia zawodowego związku rolników. Z posłów obecni byli pp. Jachowicz, Żardecki i ks. Lubomirski. W dyskusyi brał między innymi udział p. B. Krzysztofowicz ze Lwowa, który jako były rolnik i znawca stosunków agrarnych a zwłaszcza wiejskich wypowiedział bardzo wiele trafnych i przez włościan z gorącem uznaniem przyjętych uwag o ekonomicznem odrodzeniu kraju przez tworzenie kooperatyw. — Posłom a zwłaszcza p. Żardeckiemu wyraziło zebranie wdzięczność za serdeczną pracę obywatelską.

ZE ŚWIATA.

Tragedya milionerki. W tych dniach zmarła w Londynie pewna dama, licząca już przeszło 70 lat, która jednak jeszcze przed paru miesiącami zamierzała wyjść zamąż. Była bogatą, posiadała przeszło 5 milionów (koron), nie miała krewnych i nie wiedziała komu zostawić majątek. — Gdyby się trafił jaki „baron" — rzekła niedawno do swej przyjaciółki — to wyszłabym za niego. Przyjaciółka miała znajomego agenta do kojarzenia małżeństw, a ten szczęśliwym trafem" miał wśród swoich klientów akurat baroneta, zadłużonego powyżej uszu. Gdy się tak pięknie złożyło, sprawę natychmiast ubito. Nastąpiło nibyto przypadkowe zaznajomienie się starej wdowy z baronetem, który zaraz z miejsca zrobił na niej głębokie wrażenie. Po kilku dniach zadłużony arystokrata runął do stóp milionerki i został wysłuchany. Wyznaczono dzień ślubu. Aliści w wilię dnia radosnego otrzymuje stara oblubienica anonimowy list, że cała sprawa była ukartowaną. Stara omal się nie wściekła — ale po chwili, kazała co prędzej sprowadzić narzeczonego. Gdy przyszedł, podała mu anonim, nie mówiąc ani słowa. Baronet okazał się uczciwym i przyznał, że istotnie został wciągnięty w grę przez ową przyjaciółkę i pośrednika. Milionerka pokazała mu drzwi — sama jednak ciężko zachorowała i w parę dni umarła ze zgryzoty serdecznej. Majątek zapisała na cele dobroczynne.

Fałszowana baronowa. W Wiedniu aresztowano onegdaj niejaką panią Strzegocką, Polkę, rozwiedzioną żonę jakiegoś wachmistrza Strzegockiego. Dopiero przed trzema tygodniami opuściła ona zakład karny w Wiener Neuhof, gdzie za oszustwo odsiedziała półtora roku więzienia. Po opuszczeniu więzienia kupiła sobie za pieniądze, uzyskane pracą w więzieniu, elegancką garderobę, przyjechała do Wiednia, wysiadła w jednym z lepszych hoteli i zameldowała się jako baronowa Strzegocka.

Tytuł baronowski posłużył jej do tego, że w kilku dniach porobiła wiele znajomości, przeważnie wśród takich oficerów, którzy byli w potrzebie pieniężnej.

Udając, że ma stosunki z finansistami, obiecywała im Strzegocka złote góry i pod pretekstem zaliczki na procenta wyłudzała od nich kwoty pieniężne.

Oficerowie przychodzili rychło do przekonania, że mają do czynienia z oszustką, ale bali się jej denuncyować, żeby nie splamić swego honoru oficerskiego przez wykrycie własnych stosunków, bo to skończyłoby się dla nich wykluczeniem z armii. Wiodło się więc pani „baronowej" dobrze, aż natrafiła na pewnego urzędnika cywilnego.

Ten nie miał skrupułów, jakie odstraszały oficerów do wniesienia skargi i zadenuncyował oszustkę. W chwili aresztowania pani „baronowa" odgrażała się z oburzeniem, że jeżeli jej nie wypuszczą na wolność, to wywoła wielki skandal. Oczywiście policya nie zważała na pogróżki i oddała ją do sądu.

Z literatury i sztuki.

Repertuar teatru miejskiego (pod dyrekcyą Ludwika Hellera):

We środę: „Nitouche", operetka.

We czwartek: „Czar walca", operetka.

W piątek: „Mąż z grzeczności", komedya w 3. aktach.

W sobotę: „Posłaniec 6666". operetka.

W niedzielę: popołudniu o wpół do 4-tej „Dzwony z Corneville", operetka, — wieczorem o wpół do 8-mej „Mąż z grzeczności".

*

„Z przeszłości Żółkwi" — napisał Mikołaj Niedźwiedzki. Niebawem mają się odbyć w Żółkwi uroczystości narodowe przeniesienia zwłok hetmana Stanisława Żółkiewskiego. Przy tej sposobności przypomnieć nam wypada, iż najlepszym podręcznikiem w celu zapoznania się gości, jacy przybędą do Żółkwi na ten obchód narodowy, z pamiątkami sławnego grodu Żółkiewskich i Daniłowiczów, jest wyżej wspomniana książeczka inspektora szkolnego p. M. Niedźwiedzkiego pt. „Z przeszłości Żółkwi".

*

Z opery. Sympatyczna opera polska „Halka" daną była w poniedziałek ku uczczeniu zjazdu inżynierów i techników wiertniczych we Lwowie. Dano ją, ale dla braku sił tylko pierwszy jej akt, doczepiając do niej dla wypełnienia reszty wieczoru wiedeńską operetkę, Lehaara „Mąż trzech żon". Mimo to pierwszy akt Halki wspaniale kostyumowo i dekoracyjnie wystawiony, a polonez i mazur ze staropolską gracyą i werwą prowadzony wywołał zachwyt tak u obcych jak u bywalców teatralnych, słusznie też wzięto go jako dobrą zapowiedź przyszłego, pomyślnego sezonu operowego. Soliści bowiem wszyscy chcąc niejako wynagrodzić pierwszym aktem za całość opery śpiewali i grali wyśmienicie, tylko pani Lopatyńska, o ile w partyi Halki wzbudziła podziw swoim donośnym, metalicznym, równym w skali głosem, raziła natomiast huculskim kostyumem, zdaje się jeszcze z czasów swoich występów w ruskim teatrze i psuła charakter i styl opery. Za obowiązek mamy zaznaczyć powodzenie p. Okońskiego w partyi Janusza, który jakby po letnim wypoczynku wyświeżony, doskonale był głosowo usposobionym, a w grze i w kostyumie wprost stylowym,

L. B-r.

TELEGRAMY.

Prezent dla Konstantynopola.

Wiedeń. Cesarz ofiarował ze swej prywatnej szkatuły 15.000 koron na pogorzelców miasta Konstantynopola.

Siczyński przed sądem.

Wiedeń. Dziś pod przewodnictwem radcy dworu Buczackiego odbędzie się rozprawa kasacyjna, z powodu zażalenia nieważności, wniesionego przez obrońcę Mirosława Siczyńskiego przeciw wyrokowi sądu przysięgłych we Lwowie.

Cesarz jedzie do Budapesztu.

Wiedeń. *Corr. Wilhelm* donosi, iż stan zdrowia cesarza jest stale znakomity. Dnia 8. b. m. cesarz uda się do Budapesztu, gdzie zaprzysięgnie nowozamianowanego serbskiego ortodoksyjnego metropolitę i egzarchę z Banialuki, Popovica, poczem przyjmie go na audyencyi. Dnia 10. b. m. weźmie cesarz udział w nabożeństwie żałobnem w kościele dworskim w Budzie za duszę ś. p. cesarzowej Elżbiety. Dnia 15. bm. wyjedzie cesarz do Veszprimu, aby wziąć udział w wielkich manewrach. Po powrocie z manewrów do Budapesztu przyjmie na audyencyi ks. bułgarskiego, który złoży monarsze życzenia z okazyi 60-letniego jubileuszu rządów. Między 19. a 20. bm. są w programie przyjęcia delegacyj, poczem, gdy pogoda dopisze, uda się cesarz do Gödöllö, a w pierwszych dniach października powróci do Wiednia.

Naokoło Marokka.

Berlin. *Nordd. Allg. Ztg.* donosi, że rząd niemiecki przez swych zastępców zawiadomił mocarstwa, podpisane na akcie w Algeciras, że ze względów na nową sytuacyę w Marokku, zwraca uwagę mocarstw na to, że rychłe uznanie Muleja Hafida leży w interesie ostatecznego uporządkowania stosunków w Marokku.

Cholera w Rosyi.

Petersburg. W gubernii astrachańskiej od początku epidemii zachorowało 981 osób, zmarło 472; w guberni saratowskiej zachorowało 494, zmarło 452; w gub. samarskiej zach. 119, zm. 65; w gub. symbirskiej zach. 7, zm. 1; w gub. niżegorodzkiej zach. 265, zm. 108; w gub. kostromskiej zach. 6, zm. 3; w gub. jarosławskiej zach. 13, zm. 6; w gub. permskiej zach. 13, zm. 5; w Rostowie nad Donem zach. 408, zm. 179; w okręgu wojska dońskiego zach. 483, zm. 175; w Baku zach. 16, zm. 8; w okręgu kubańskim zach. 28, zm. 18; w Tyflisie zach. 5, zm. 4. W ogóle w państwie od 21. do 28. z. m. zachorowało 1199 osób, zmarło 573. Od początku epidemii zachorowało 3141, zmarło 1505.

Sułtan ustępuje?

Konstantynopol. Mimo urzędowych zaprzeczeń utrzymują się pogłoski, że sułtan Abdul Hamid zrzeknie się tronu. Specyalne koła dworskie radzą sułtanowi, aby ze względu na podkopane swe stanowisko, zrzekł się sam wszelkich pretensyj do tronu.

Fiasko szewca Voigta.

Berlin. Kapitana z Köpenick opuściło widać to bajeczne szczęście, z jakiem wykonał swój bajeczny zamach na kasę w Köpenick. Po fiasku z występami w Wiedniu i Budapeszcie, miał zamiar udać się do Kopenhagi i tam na scenie reprodukować swoją bohaterską sztukę. Aliści w Berlinie dowiedział się właśnie, że w Kopenhadze występował przez kilka dni już „Kapitan z Köpenick" z wielkiem powodzeniem. Był to widocznie jakiś oszust, który podszył się pod maskę — oszusta i zebrał sporo grosza. Pan Voigt może sobie powiedzieć: *Fortuna variabilis!*

Walka z kartelem żelaznym.

Praga. Wszystkie dzienniki przepełnione są szczegółami o walce z kartelem żelaznym i o oszczerstwach na czelnego dyrektora kartelu, Wilhelma Kestranka. Poseł Czernoholsky zawiadomił telegraficznie dzienniki, że dziś wróci do Pragi i natychmiast wniesie skargę o oszczerstwo przeciw Kestrankowi i redakcyi *Prager Tagblattu.* Syndyk miasta wniósł już wczoraj zbiorową skargę członków Rady miejskiej przeciw Kestrankowi.

Co się tyczy drugiej sprawy, prowizyi, o której Kestranek również pisał, zgłosił się pan Kunz, dyrektor z Hranic, i oświadczył, że twierdzenie p. Kestranka jest rozmyślnem kłamstwem. P. Kunz rozmawiał z nim i żądał 5 proc. opustu, ale nie na jakieś prowizye dla siebie lub dla kogo innego, lecz na korzyść przedsiębiorstwa wodociągowego. Ten list p. Kunza odczytano wczoraj na posiedzeniu wydziału Rady miejskiej.

Z ostatniej chwili.

Zgromadzenia przedwyborcze.

Z powodu wyboru posła do Rady państwa z I. okręgu miasta Lwowa — odbyły się wczoraj zgromadzenia przedwyborcze w Tow. urzędniczem, dalej służby państwowej w Stow. „Jedność", a wreszcie w Izbie handlowej i przemysłowej zgromadzenie najwybitniejszych kupców i przemysłowców.

Na pierwszem zgromadzeniu przemawiał jedyny kandydat narodowy wszystkich polskich stronnictw dr. Gustaw Roszkowski i zaznaczył, że

1) jest i był demokratą a więc jest zwolennikiem równości obywatelskiej,

2) jest zwolennikiem ścisłej konsolidacyi stronnictw demokratycznych a więc jest zwolennikiem „Unii demokratycznej".

3) uznaje jako konieczność solidarność polskiej reprezentacyi w parlamencie.

Następnie omawiał mowca szeroko sprawę ruską i wymienił cały szereg spraw, które zdaniem jego w najbliższej przyszłości powinny być załatwione jako: ubezpieczenie robotników na wszystkie wypadki życia i ustawa językowa.

Omówiwszy następnie obszernie znane postulaty stanu urzędniczego — zapewnił, że będzie zawsze ich gorącym orędownikiem.

Posypały się gromkie oklaski, a następnie po przeprowadzonej dyskusyi uchwalono jednogłośnie poprzeć wszelkiemi siłami kandydaturę

prof. dr. Roszkowskiego.

Na zebraniu służby państwowej w sali „Jedność" mówił prof. dr. Tomaszewski, zbijając potwarze socyalistów miotane na Koło polskie, jakoby zdradzało sprawy narodowe.

Określił więc jasno i przedmiotowo udział Koła polskiego we wszystkich ustawach przez parlament uchwalonych na korzyść najszerszych mas ludności, podniósł poseł Tomaszewski ważność wyboru posła I. okręgu dla sprawy narodowej.

Zgromadzeni nagrodzili mowcę dr. Tomaszewskiego gorącymi oklaskami.

Zgromadzenie kupców i przemysłowców

żydowskich, na którem przemawiali dr. Adam i dr. Battaglia, po dłuższej dyskusyi uchwaliło także jednogłośnie poprzeć kandydaturę dr. Roszkowskiego.

NADESŁANE.

Po pięćdziesiąt groszy za 1 wiersz petitowy.

Za rubrykę tę Redakcya nie bierze odpowiedzialności.

Mianowania i przeniesienia w szkołach średnich.

Rada szkolna krajowa przeniosła rzeczywistego nauczyciela w gimnazyum w Mielcu, K. Nagóreckiego, do filii gimnazyum w Stryju; profesora filii gimnazyum polskiego w Tarnopolu, Wład. Szychulskiego do I. gimn. polskiego w Przemyślu.

Rada szkolna krajowa przydzieliła profesora w I. gimn. polskiem w Przemyślu, St. Figla, do służby w gimnazyum w Żółkwi; rzecz. naucz. w gimn. w Nowym Targu, Wł. Stożka, do służby w gimn. św. Jacka w Krakowie; rzecz. naucz. w gimn. w Brodach, dr. A. Bednarowskiego, do służby w II. gimn. we Lwowie; prof. w gimn. w Drohobyczu, K. Eliasza, do służby w gimn. w Żółkwi.

Rada szkolna krajowa zamianowała rzeczywistymi nauczycielami zastępców nauczycieli: ks. J. Bulata dla gimn. w Nowym Targu; dr. Stanisława Kossowskiego dla VIII-go gimn. we Lwowie; And. Mykietiaka, Aleksandra Dąbrowskiego, J. Bobina, A. Sobczuka i dra I. Matfusa do filii gimn. w Stryju; A. Bojcuna dla gimn. w Samborze; ks. A. Koreńca, katechetę rel. gr. kat., w I. gimn. pol. w Tarnopolu.

Rada szkolna krajowa nadała posadę nauczycielską w II. gimn. w Nowym Sączu profesorowi w gimn. w Dębicy, Leopoldowi Schirnböckowi.

Rada szkolną krajowa przeniosła zastępców nauczycieli: Z. Sikorskiego z II. gimnazyum w Rzeszowie, do gimnazyum w Jarosławiu; F. Niewolaka z gimnazyum w Jarosławiu, do II. gimn. w Rzeszowie; A. Wranę z gimn. w Dębicy, M. Kaspraka z I. gimn. w Rzeszowie, Jana Wowczaka z gimn. w Podgórzu, do gimn. w Brodach; J. Kozłowskiego z gimn. w Stryju, do gimn. w Dębicy; F. Stachnika z gimn. w Wadowicach, ks. M. Turkowskiego z gimn. w Sanoku, do I. gimn. w Rzeszowie; S. Wójcika z gimn. w Wadowicach, do gimn. w Samborze; B. Kaaziora z gimn. w Bochni do gimn. w Nowym Targu; A. Konopnickiego z I. gimn. polskiego w Przemyślu, F. Mieszkowskiego i J. Runickiego z gimn. w Bochni do gimn. w Jaśle; F. Tyralika z gim. św. Jacka w Krakowie i J. Piskozuba z VII. gimn. we Lwowie do gimn. w Trembowli; F. Brudniaka z IV. gimn. w Krakowie do I. gimn. polskiego w Przemyślu; J. Długoszewskiego z V. gimn. w Krakowie do gimn. w Przemyślu na Zasaniu; A. Krawczyka z gimn. w Podgórzu do gimn. w Sanoku; dra J. Merunowicza z filii VII. gimn. we Lwowie do zakładu głównego; S. Baleja z gimn. ruskiego w Przemyślu do gimn. ruskiego w Tarnopolu; J. Cieża z gimn. w Jaśle do gimn. w Bochni; L. Sikorę z gimn. w Podgórzu do gimn. w Gorlicach; S. Stobieckiego z I. gimn. w Rzeszowie do gimn. III. w Krakowie; W. Kudelkę z IV. gimn. w Krakowie do gimn. w Bochni.

Rada szkolna krajowa zamianowała zastępcami nauczycieli w gimnazyach: ks. dr. Adolfa Włodka, ks. dr. Fr. Bardę, St. Zakrockiego i St. Bazińskiego w IV., St. Skiminę, Fel. Młynarskiego i Lud. Wygrzywalskiego u św. Anny, St. Dudka u św. Jacka, Maryana Kleczkowskiego, Ant. Kuklińskiego i Romana Serafina w III. — w Krakowie; ks. Teofila Garbackiego w Sanoku; dr. Sam. Wagmanna w I. pol. w Przemyślu; Włodz. Czajkowskiego i Mik. Wojciechowskiego w dimn. ruskiem w Tarnopolu; Rom. Jaworskiego w V., Erazma Iszkowskiego i Woj. Kościńskiego w VIII. we Lwowie; Kaz. Jaworskiego, Henryka Fogla i Józefa Rolskiego w Brodach; Fr. Wojnara i Kaz. Bernackiego w Drohobyczu; Michała Bakalusa, Teofila Minkowicza i Edw. Zuławę w Samborze; Józefa Orłowskiego w I. w Rzeszowie; Bron. Bryckiego w Stryju.

Rada szkolna krajowa zamianowała pomocnikiem katechety ks. St. Krzemienieckiego w gimn. w Dębicy, a zastępcą katechety ks. dr. Stanisława Wróbla w I. gimn. w Tarnowie.

25

FRANCISZEK DÜLL.

Bracia Białoskórscy

Powieść z końca XVI-go wieku osnuta na historycznem tle m. Lwowa.

(Ciąg dalszy)

Niedaleko pod Bartutłowem*) w pośród lasu, przyczaili się bracia, a gdy nadjechali Jelonek z Gąsiorkiem wraz ze słabą eskortą, opadli ich i już pana Pawła z konia ściągnęli i związali, chcąc go uprowadzić i na śmierć gdzie w lesie lub na „Wysokim Zamku“ zamęczyć, gdy wskutek próśb i błagań poczciwego Gąsiorka, do którego szczególnej urazy nie czuli, rzecz się trochę przewlekła i naraz nadjechało wielu ze sejmiku wracającej szlachty zbrojnej, co Białoskórscy ujrzawszy, pozostawiając Jelonka żywym, jak najrychlej umknęli, słusznie rozumując, że na gwałcie przy otwartym gościńcu przydybani, żadnego tłumaczenia nie mieli i dobrego obejścia się z nimi, od nadjeżdżających spodziewać się nie mogli.

Jak ongi rodzona siostra pana Pawła uratowaną została przez Białoskórskich od udanego napadu, tak tu dziwnym trafem, wydano go z rąk seryo godzących na jego życie, tych samych braci.

Nie dziwił się już teraz tak bardzo Jelonek szczególnej wdzięczności Kunegundy dla Marka, mając przykład na sobie, mimo nieistniejącej różnicy płci między uratowanym a ratującymi...

Oswobodzony w ten szczęśliwy sposób pan Paweł Jelonek, powrócił z Gąsiorkiem już spokojnie do miasta, gdzie z odbytego sejmiku sprawę przed Radą zdawszy, opowiedzieli i ostatni śmiały napad Białoskórskich.

Tu przebrała się miara cierpliwości panów Rady, i chcąc się raz na zawsze pozbyć tej bandy łotrów, uchwaliła jej niezwłoczne ściganie.

Otóż najpierw pchnięto umyślnego do starosty Mikołaja Herburta, o którym myślano, że jest w Dobromilu, z wiadomością o śmierci burgrabii „Wysokiego Zamku“, i ze skargą na młodych Białoskórskich. Poseł wrócił niesprawiwszy się z danego polecenia, ponieważ niezastał Herburta, który wówczas bawił na dworze królewskim w Krakowie. Lecz Rada, jak uważała uczyniwszy zadość formalności, przystąpiła sama do działania.

Ponieważ wiedziano, że Białoskórscy nie mogli mieć bardziej bezpieczniejszego schronienia nad „Zamek Wysoki“ i ufni w obronne mury, oraz podziemne kryjówki nieobawiają się miejskiego magistratu, postanowiła Rada miasta, pomimo to, wyłapać tych ptaszków w samem gnieździe.

I w istocie bracia zbóje nie mieli jeszcze czasu ochłonąć z przygód i tarapat, jakie ich w dniach ostatnich spotkały.

Odkrycie w nich sprawców kradzieży u Jelonka, hece w mieście, śmierć ojca i dwóch braci, szaleństwo matki, oraz udowodniony napad na drodze publicznej, za silnie na ich spokój i zwykłą zimną krew oddziałały, a mając teraz wiadomość o nadanym przywilejem prawie miasta Lwowa i zapowiedzianem w Sądowej Wiszni ściganiu ich za zbrodnie popełnione, nie czuli się wcale swobodnymi, tembardziej, że wskutek śmierci ojca, już nawet pozostawać nadal w Zamku tytułu nie mieli, bo ten, że w miejsce innych ludzi tworzyli jego załogę, upadł ze śmiercią ich ojca.

Byliby się chętnie ruszyli, lecz gdzież pójdą razem wszyscy?... Czy w lasy lub w góry żyć gromadą jak zwierz dziki i rozbijać otwarcie?... Toż wtedy mieliby wszystkich i wszędzie przeciw sobie, a tak przy Lwowie, byle się tylko skryć dobrze, zawsze coś pewniejszego się złowi, no, i tylko mieszkańców miasta jako ciężkich wrogów unikać by wypadało. Dodatkowo niby dla ekskuzy swego postępowania, udawać by można prowadzenie wojny we własnym z miastem sporze, coby może nawet szlachcie okolicznej do przekonania trafiło i rzecz jako tako upozorowało...

Siedzieli więc na Zamku, knując różne plany i niespodziewając się tak rychło, a nawet wcale jakiego ze strony miasta napadu...

XIX.

SZTURM DO WYSOKIEGO ZAMKU.

W biały dzień o porannej godzinie na odwachu przed ratuszem, zabębnił dobosz w taraban werbel na pobudkę... Na ten znak Imć pan Józef Wolfszulcowicz, który przez tę noc trzymał stróżę na miejskiej strażnicy, wyszedł po chwili z piętnastoma swoimi drabami i ustawił ich w szyku... Bębenista walił dalej w bęben niestrudzenie, póki powoli z różnych stron nie zaczęły się gromadzić inne oddziały zaciężnego podówczas jak to przed wspomnieliśmy, miejskiego wojska.

I tak najpierwszy zjawił się Imć pan rotmistrz Jakób Balcerkiewicz z czternastu ludźmi i jednym bębenistą i ten ustawiwszy swoich w pięknym ordynku, naprzeciw odwachu, zamienił honory wojskowe z kolegą Wolfszulcowiczem i odebrawszy raport i stróżę na przyszłą dobę, zaciągnął ludzi na odwach.

Po nim nadeszli po kolei pan Jan Ganshorn, Jan Łukaszowicz, Marcin Murarzewski i Wilhelm Anglik, rotmistrze, każdy ze swoimi drabami.

Cała ta siła zbrojna wynosiła do półtrzeciej setki ludzi, pod dowództwem sześciu rotmistrzów i niższej starszyzny, ponieważ ci czterej ostatni mieli prócz zastępców poruczników, dziesiątników, fajfrów i bębenistów, prawie każdy blizko do pięćdziesięciu szeregowych.

Dwaj pierwsi wymienieni dowódzcy drabów, byli to lwowscy mieszczanie. Sposób ich życia był nibyto wojskowy; utrzymywali przy sobie ludzi do życia wojskowego przywiązanych i każdemu, który im zapłacił, służyli wiernie z swą drużyną, bynajmniej się nie troszcząc czyli w sprawiedliwej sprawie lub nie. Czterej inni należeli do różnych narodów, którzy jako partyzanci za zezwoleniem rządu najmowali się ze swojemi bandami, walczyć za pieniądze. Można stąd wnosić, że zarobkowanie takie w czasach taki popłacało...

Ludzie panów Wolfszulcowicza i Balcerkiewicza mieli barwę czarną, zaś wojsko innych rotmistrzów ubrane było w barwę białą z niebieskiemi bindami, mając na piersiach półpancerze, a na głowach hełmiki skórzane, uzbrojeni zaś byli jedni we włócznie i topory, drudzy w halabardy i krótkie miecze, a nie wielka liczba miała miecze i rusznice. Rotmistrze zaś i oficerowie, przy zachowaniu ogólnej barwy, ponieważ należeli do różnej narodowości, ubrani byli więcej fantazyjnie i uzbrojeni rozmaicie.

Przy przybyciu każdego oddziału z osobna, oddawano sobie wzajemnie honory wojskowe.

Nareszcie zjawił się burmistrz miasta w otoczeniu Rady i oddawszy dowództwo naczelne Imć panu Janowi Ganshornowi, przemówił do zgromadzonych mieszczan i pospólstwa, które na wieść o wyprawie na Zamek licznie i uzbrojone się zebrało, aby nie ważyło się brać w niej udziału, coby bardziej wyglądało na gwałt, niż na formalne wykonanie przysługującego przywilejem, królewskim magistratowi lwowskiemu prawa.

Rotmistrz Ganshorn odbywszy krótką, co do wyprawy, ze starszyzną wojskową naradę, ruszył z całym pocztem w pochód.

Za wyjściem ich z miasta, podwoił pan Jakób Balcerkiewicz straże przy bramach i furtach i o ile możności niewypuszczano nikogo.

(C. d. n.)

*) Wieś zwana dziś Bartatów.

Odpowiedzialny redaktor: Stanisław Tokarski. Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie, pod zarządem Józefa Ziembińskiego.